



Wacław Żelazek

część I z VII

Sygnatura notacji: **N0076**
Data urodzenia: **16.09.1919 r.**
Data nagrania: **17.09.2007 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Rafał Pękała, Anna T. Pietraszak**
Czas nagrania: **cz. I: 58 min, cz. II: 59 min, cz. III: 60 min, cz.IV: 60 min,**
Format nagrania: **video** **cz.IV: 60 min, cz.V: 59 min,**
Język nagrania: **polski** **cz.VI: 60 min, cz.VII: 61 min**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Wacław Żelazek: Więc, proszę państwa, urodziłem się 16 września 1919 roku. Miałem to wielkie szczęście, że urodziłem się już w wolnej Polsce. Akurat miesiąc po podpisaniu przez pana Dmowskiego traktatu wersalskiego. Urodziłem się w gronie wielkiej, licznej, znanej już w Polsce rodziny, 14-osobowej rodziny. Urodziłem się w Palędziu pod Poznaniem. Dzisiaj już Palędzie, kiedyś to była mała wioszczyna. Dzisiaj był nie tak dawno, jak mówię, to zrobiło się piękne miasteczko. I tam mieszkaliśmy w tym Palędziu, gdzie ojciec miał duże gospodarstwo i miał młyn. Bardzo sławny, na całą okolicę, nawet zza wielkich Niemiec przyjeżdżali do młyna do ojca, bo tam najlepszą mękę się tam wyrabiało. I przy tym był zawsze wielkim patriotą. I to wpoił ten patriotyzm. Pamiętam, nam zawsze opowiadał, zresztą przyjeżdżał tam do nas. Ja sobie mały chłopak, ale przypominam sobie, niejaki Drzymała na tym wozie sławnym. I za ojcem tam konfabulowali. Więc w tej rodzinie licznej piękne, szczęśliwe dzieciństwo spędziliśmy do 1925 roku. Wtedy ojciec, ponieważ zdał wielką pożyczkę na niepodległą Polskę, musiał sprzedać po prostu to gospodarstwo i przenieśliśmy się do Poznania. W Poznaniu ojciec prowadził mały sklepik spożywczy na ulicy wtedy Górna Wilda 107, ulica pamiątkowa. Znany już sklepik do dzisiaj, ponieważ on się utrzymał później w czasie okupacji niemieckiej i tak że, a ponieważ rodzina tak liczna była znana, a niedaleko mieliśmy Parafię Księży Zmartwychwstańców, a przy tej parafii wtedy, w tej naszej niepodległej Polsce, kościół robił wszystko, tam się gromadziło całe życie. Stamtąd się wywodziłem, tam były wspaniałe towarzystwa. Myśmy należeli, bo chłopacy z Żelazkowa już byli sławni, byliśmy w towarzystwie ministrantów, a tych ministrantów było nas aż 200, przeszło 200. I wszyscy mieliśmy tak wspaniałe towarzystwo, że z innych towarzystw, towarzystwa chóru, towarzystwa rozkrzewiania wiary, różańcowe różne, najbardziej szanowane, które najwięcej dawało na kościół, to byli ministranci. I z tych ministrantów, proszę sobie pomyśleć, oprócz mego sławnego już teraz brata Mariana, to wyszło, z tego naszego rocznika tylko, 17 księży,

z 200. 17 księży, samych zmartwychwstańców czterech, pięciu. A później do innych zakonów, ojciec Marian był werbistą na przykład, więc tam się wszystko gromadziło, a, jeszcze najważniejsze, że ja pierwsze moje studia, to miałem pierwszą i drugą klasę szkoły powszechnej i trzecią. W szkole powszechnej, która dzisiaj podobno nazywa się Generała Andersa, a była niedaleko nas, na ulicy, już nie pamiętam dobrze, ale kilka ulic dalej od nas. I tam miałem wspaniałą nauczycielkę. Mówię wam, proszę państwa, do dzisiaj, niejaka pani Nawrocka się nazywa. Ta nauczycielka, ona nas nauczyła wszystkiego. Ona nas nauczyła przede wszystkim religii. Bo przychodził ksiądz zmartwychwstańców, starszy ksiądz, to on po prostu mnie tam nie uczył. Kto nas nauczył prawdziwej religii, to była ta pani Nawrocka. I później ja nie wiem dlaczego, miałem wielkie zamiłowanie do historii. I ta pani Nawrocka chodziła do mego ojca, do moich rodziców, z prośbą, z naleganiem, żeby mnie posłać do gimnazjum. A Marian chodził o rok wyżej, on jest o rok starszy i on był w czwartej klasie, a ja byłem w trzeciej i z trzeciej klasy podstawowej się szło do pierwszej gimnazjalnej. I miałem to wielkie szczęście, którym zawdzięczam, będę pamiętał na całe moje życie. Miałem to szczęście uczęszczać do Gimnazjum Marii Magdaleny w Poznaniu. To jest staroklasyczne gimnazjum, bo to jest drugie najstarsze gimnazjum w Polsce. I tam, proszę sobie pomyśleć, na pierwszy renglon w tym gimnazjum to była religia. I znowu, mieliśmy wspaniałych prefektów księży świeckich, którzy nam wpałali tę religię, a kto z religii nie zdał, teraz się kłóć i kwestionują to, czy ma być, czy nie ma być, kto nie zdał z religii, to niech się pożegna z gimnazjum. Miał stracone życie. To był najważniejszy renglon. Drugie, co było po polskim, to była łacina. W tym gimnazjum od pierwszej do ósmej, bo wtedy było od pierwszej do ósmej, była zawsze łacina. I tej łaciny też, ja cały, to jest mój, chyba najwięcej wdzięczny jestem gimnazjum Marii Magdaleny, że w nas wpoili łacinę. Łacina, mnie się wydaje, to jest matka języków, a do polskiego to chyba najbardziej gramatycznie zbliżona. Zresztą w Polsce się rozmawiało po łacinie. Wszystkie dokumenty do XVIII wieku to była łacina. A ten nasz język pozostał przy łacinie zawsze. Wszystkie inne języki odeszły. Nasza gramatyka polska i łacińska jest identyczna. Nawet nasza jest bogatsza od łacińskiej. I później ta łacina, dążę do tego, że ja się dostałem za granicę, poza Polskę wyjechałem. Ja się żadnego języka nie uczyłem. Włoski to mi przyszedł sam, znając łacinę. Hiszpański, wszystkie języki łacińskie, francuski, portugalski to wszystko przychodziło samo. Ja nigdy nie widziałem książki, jakiejś gramatyki się nie uczyłem. Nie, bo miałem początki łaciny. Ta łacina to była zbawienie dla mnie. No i okazało się, że, trzeba pamiętać o tym, że wtedy za gimnazjum się płaciło czesne i to ogromne czesne. I tak dobrze, że ojciec, raz, że chodziliśmy razem, bo Marian i ja do tej samej klasy. Nie wiem, dlaczego, on był rok starszy. I był o rok w szkole podstawowej wyżej. Ale poszliśmy do pierwszej klasy gimnazjalnej razem i razem prowadziliśmy się, aż on poszedł do werbistów, a ja do czwartej klasy byłem w tym gimnazjum. A ponieważ się płaciło czesne, a była... może dlatego, że byliśmy może i zdolni, a drugi raz, że była taka liczna rodzina. Mieliśmy wielką zniżkę, ale to czesne było bardzo drogie, a przy tej licznej rodzinie i w tym tylko sklepiku, to nie było łatwo rodzicom, dlatego ja od czwartej klasy gimnazjalnej, jak już zostałem sam, Marian poszedł do werbistów, gdzie też się płaciło, żeby dostać do małego seminarium do werbistów, to Marian opisuje w swojej książeczce, jak prosił Matkę Najświętszą, żeby mu dali zniżkę, werbiści, bo się płaciło. To nie tak, jak dzisiaj, za darmo się kształcą ludzie. Więc tę zniżkę też dostał, a ja miałem to szczęście, że właśnie jeden z tych opiekunów, tych ministrantów, był taki brat zakonny, który pomógł mi, a ponoć ja może trochę i zdolny, a może dlatego, że się uczęszczałem, bardziej się udzielałem tam. A wtedy się rozprowadzało, pamiętam, w Poznaniu, przed parafią się sprzedawało tygodnik kościelny, to wydawała parafia i Przewodnik Katolicki, który do dzisiaj wychodzi. Tylko to zmienione jest. Dawniej Przewodnik Katolicki, to było jedno z najpiękniejszych wydawnictw katolickich w Polsce. I była taka wystawa w Rzymie, właśnie prasy katolickiej. I za pomocą tego brata, opiekuna tych ministrantów, dostałem bardzo

niską zniżkę i pojechałem do Włoch. Pojechałem, nie żeby tam zostać, tylko... ale ponieważ nie miałem, drugi starszy był już zmartwychwstańcem i tamtych zmartwychwstańców, z nimi się zapoznałem, przytulili mnie. Ja się zakochałem we Włoszech, w tych zabytkach, w tej kulturze, no i zostałem. Zostałem, to był rok już 1936. I tam kończyłem moje studia. Już w szkole, najpierw włoskich, a później zacząłem, już krótko przed wojną, zacząłem uniwersytet. I okazuje się, że tam mnie zastała wojna. Jak wybuchła wojna, ja miałem 20 lat. Oczywiście my w tym duchu patriotycznym wychowani, garnęliśmy się na pomoc ojczyźnie. Pamiętam, była tam grupa takich młodszych chłopaków i od razu pierwszy pociąg, i jedziemy do granicy. Dojechaliśmy do Tarvisio, do granicy między Jugosławią i Włochami, i Austrią, no i już tam dochodzi wiadomość, że w Polsce kampania się skończyła. Więc wracamy. Ja przynajmniej wracam do Włoch. Wracam do Włoch i znowu nie żałuję, chyba bozia tak chciała. Wiecznie wielu ja tam Polakom pomagałem. Bo ci wszyscy, wiecie, jak się skończyła kampania w 1939 roku, ci Polacy byli tak tym patriotyzmem przepojeni, tę naszą, tak że my tę kochaną naszą Polskę kochali i cieszyli tą wolnością 20-letnią. Więc zgarnęli się wszyscy po upadku kampanii wrześniowej w Polsce, do armii, do Francji, gdzie Sikorski od razu tworzył nową armię. Więc ja, znając język włoski, znając te Włochy tam. Wiecie, ilu ja tam tych Polaków przeprowadzałem. Dałem im schronienie i wyprowadzałem dalej do Anglii, do Francji, żeby dalej za Polskę się bić. Więc tam naprawdę dużo pomogłem i to trwało aż do 1943 roku. A już będąc tam we Włoszech, oczywiście ja wtedy już, że tak powiem, nabrałem trochę antypatii do Włochów, dlatego, nie wiem, czy pamiętacie, jak to Mussolini, sławny Mussolini, wyszedł na balkon i się wyraził, że ten bękart wersalski, zwracając się do Polski, że więcej już nie powstanie, więc nabrałem takiej antypatii do Włochów, która pozostała do dzisiaj. Ja ich nie lubię, naprawdę niedużo później w czasie wojny tośmy widzieli, jak oni zdradzali kolejnych swoich i tak dalej. W każdym razie czekaliśmy i dowiadywaliśmy, że już tam Anders wyprowadza Polaków z Rosji, że ci Polacy już tam podążają na Bliski Wschód, a przy tym propagandę tam musiałem słyszeć. Niemcy, którzy już... to nie przybyli przyjaciele, Włosi i Niemcy to byli alianci, a więc nagonka niesamowita na Polskę. A coś o Polakach przeciwko Andersowi już wtedy... więc, a my tylko czekaliśmy, jak tylko pierwsi Polacy wylądowali na Sycylii, [niezrozumiałe, 00:14:41], to właśnie nie na Sycylii, tylko na tym cypelku na południu Włoch. My już całą gromadą, a w mieście już zebrałem przeszło 30 chłopaków. Miałem zorganizowanych i od razu do Andersa. U Andersa krótkie przeszkolenie wojskowe. To było już po kampanii, po Monte Cassino. Jakby go, bo ja wiem, miesiąc tego przygotowania wojskowego, bo ja żadnego tego nie miałem wojskowego. Miesiąc na to, przećwiczyli, przećwiczyli i mnie od razu dali, wiecie, do dwójki. Bo dwójka to jest ten wywiadowczy oddział, tłumaczenie, rozeznaniem jeńców, przesłuchiwanie tych uciekinierów, którzy się zgłasza do armii. To było moje zajęcie. I przygotowywanie kwaterunku dla wojska. Od Monte Cassino później, aż po Ankonę, to już byłem na froncie. Poszedłem z wojskiem, razem z Andersem, aż po Bolonię. W Bolonii, wiadomo, tam skończyło się, i w Ankonie dopiero odnalazłem mojego brata, starszego brata Kazimierza, który z Rosji wychodził i z Andersem, tylko ja nie wiedziałem, bo się w ogóle kontakt z rodziną w czasie wojny, jak, skąd? Nie było, był urwany zupełnie. Ale od kolegów, od tych andersowców dowiadywałem się, że taki brat, że mój brat jest, ale żeby spotkać, to tam było 40 tysięcy już wtedy żołnierzy nieznanymi, rozlokowanymi w różnych częściach Włoch. Tak żeśmy się szukali znowu, jak tylko patrzeć było szczególnie, że ja przeszukując, pamiętam, w Ankonie, w takim teatrze, chyba już po akcji, Polaków zwalniali i Polacy jak Polacy, chcieli poznać i Włochy, to wysyłali wycieczki do Włoch i naokoło zwiedzali, a Ankona, Loreto, tam przepiękny Adriatyk. To na plażę i tak dalej. Później korzystali z teatrów i była nasza sławna, zresztą żona Andersa prowadziła, czołówka artystyczna przepiękna, przedstawienie niesamowite. I na takim przedstawieniu ja pilnuję żołnierzy, z góry, pamiętam, na balkonie i dopytuję się żołnierzy, mówi, a taki Żelazek, plutonowym był. A Żelazek taki? Jest, mówi, jest,

tu na dole powinien być. Ja mojego brata nie widziałem przeszło dziesięć lat, bo ja już w 1945 wyjechałem. Poszedł na wojnę, to był czterdziesty, tak, prawie dziesięć lat. Więc okazuje się, że czekam przy wejściu, no i tam go poznałem, i tam się spotkałem z pierwszym bratem, w Ankonie. Później mnie przenieśli do Rzymu. W Rzymie zarekwirowali piękną siedzibę pofaszystowską. W marmurze, pamiętam, piękny pałac, w samym centrum Rzymu. I ja tam byłem w tym centrum i przyjmowałem, organizowałem wycieczkę wszystkich Polaków, którzy przyjeżdżali zwiedzać Rzym już po akcji, po wojnie. I przyjeżdżali, ja musiałem organizować i asystować. Były nieraz wypadki, to trzeba było z policją jeździć, to trzeba było, niesnaski z Włochami, to tłumaczem. I tam dowiadujemy się oczywiście, że jest Marian w Dachau, a wiecie, że już z nami Anders nie tylko wojsko wyprowadził z Rosji, wyprowadził się z całą, jeszcze większą ilość niż wojsko, wyprowadził osób cywilnych. O! Macie w Indiach, w Warszawie jest ta szkoła sławna, jak ja mówię, że Maharadży, którą Maryś zawsze odwiedzał. Ten hindus miał tysiąc polskich dzieci. Przez całą wojnę trzymał w Indiach, wyprowadzonych przez Andersa z Rosji. Taka druga placówka była w południowej Afryce. A rodziny całe to szły za wojskiem. We Włoszech były trzy osiedla wielkie rodzin polskich. Anders oczywiście już zorganizowany, wojna się skończyła, we Włoszech przynajmniej, wysyłał wszystkie, po tych obozach i zbierał wszystkich uchodźców, gdzie, nie było Polaków. W każdym obozie pełno Polaków przede wszystkim. A wiadomo było, że w Dachau, w Gusen, tam byli przeważnie księża, polscy księża. Więc pojechali... właśnie ciężarówka naszego korpusu, 2. Korpusu, pojechali do Dachau i zabrali tych Polaków, tych księży polskich, księży, kleryków, bo to Marian był wtedy jeszcze klerykiem, zabrali i przywieźli do Włoch. Tam znowu spotkanie trzech braci już. Spotkali się na placu, znaczy, Plac Hiszpański, na tych schodach tam. Z góry z Placu Hiszpańskiego do góry idą do tego kościoła. Tam spotkali się z Marysiem. Ja, Marian i Kazimierz. Możecie sobie wyobrazić, co za spotkanie było. Radość nasza wielka. No i tak, Marian w dobrym miejscu stawiany, bo on był... tam mają wielki klasztor w Rzymie. Dom generalny zresztą. Bo wiecie, że Werbiści to jest właściwie zakon niemiecki. Holendersko-niemiecki. I założyciel Janssen to był właściwie Niemiec. Oni tam mówili po niemiecku. Marian świetnie po niemiecku, już znał z Polski zresztą. Mój ojciec z Niemcami nie współpracował, tylko pracował w czasie jeszcze zaborów. Ale ja do niemieckiego nigdy nie miałem. Francuski, bo my w gimnazjum, to myśmy mieli tak, od pierwszej klasy łacinę, do ósmej. W drugiej do wyboru albo niemiecki, albo francuski. Oczywiście Poznaniacy, my, w mig wszyscy na francuski poszliśmy. W trzeciej był język do wyboru. To albo angielski, a w czwartej był obowiązkowy grecki. Stary grecki, tu się w ogóle nie używa. Alfa, omega, ten stary. Był obowiązkowy, który później szedł aż do ósmej klasy. Więc ja zasmakowałem tej starej greki cały rok. Jeden rok uczyłem się greki. No i się też przydała. Potem, wiecie, jeszcze stare pisma i tak dalej, napisy, w Rzymie nawet, wszędzie po grecku.

Rafał Pękała: Czy moglibyśmy wrócić jeszcze jakby do czasu roku 1939? Od 1939 roku, ale wcześniej jeszcze, tak. Wujek powiedział o tacie swoim, natomiast może parę słów o mamie?

Wacław Żelazek: Mama, święta kobieta. Święta kobieta! Bo proszę sobie wyobrazić, wychować tę gromadkę dzieci i proszę nam wierzyć, że ja z całej tej gromadki, a byłem urwisem, nie spotkałem nigdy, najwyżej klapsa od mamy. Od taty tak, od taty to ja, i z Marysiem, pamiętam, myśmy dostali, takie mieliśmy dyscypliny. To był taki patyk z takimi rzemykami, który często chowaliśmy za piec, pamiętam, ale od mamy nigdy. Ale za to modlitwa rano, wieczorem, paciorek przed jedzeniem, po jedzeniu, to nam tak wpoila. To pozostało na zawsze. I do kościoła, a był mój najstarszy braciszek, to tak myśmy go nazywali „czarna owieczka” w domu. Do kościoła na przykład on nie, to stronił. Nie, no

nie. Nie był zły, bardzo dobry. Zresztą później się okazało, że jak myśmy już oddalili się po wojnie, w czasie wojny, pozostała najmłodsza rodzina, to był jedyny opiekun, ale tak jak był wtedy, za moich czasów, co ja pamiętam, no to nie bardzo. To mama bardzo ubolewała. Bardzo ubolewała, że on tam do kościółka to nie. Pamiętam, wracał z kościoła, to pytał, jaka ewangelia była. To on kupował gazetkę, tygodnik kościelny i tam była ewangelia. I tak oszukiwał mamę.

Rafał Pękała: Mam pytanie, gdyby wujek mógł jeszcze powiedzieć, jak nazywał się tata i jak nazywała się mama?

Wacław Żelazek: Więc ojciec się nazywał Stanisław i tych Stanisławów... mama też Stanisława. Stanisław Żelazek i Stanisława z domu Szymkowiak. Szymkowiacy to była rodzina, która w Palędziu do dzisiaj istnieje. Tam jeszcze są spadkobiercy. Innych Żelazków nie. Żelazcy są tylko na cmentarzu, moi pradiadkowie; Ale ci Szymkowiak z rodziny mojej mamy, tak, tam jeszcze rodzina jest. Mama tak, w Polsce po wojnie, przeżyła wojnę, oczywiście martwiła się, bo cała rodzina była rozrzucona. Zostali tylko w domu Zdzisław, to jest mój młodszy brat, którego wywieźli później na roboty do Niemiec i dwie najmłodsze siostry, które żyją. Jedyne. A wszystkich innych porozdzielali, powyrzucali Niemcy albo na roboty, albo do wojska, albo ja byłem za granicą, Marian w obozie, tak że w Polsce w zasadzie to rodzice i to najmłodsze rodzeństwo. Mama po wojnie, to był 1950 rok, co jeszcze się udało Marysiowi, bo Maryś w 1948 roku został wyświęcony na kapłana i w 1949 roku przyjechał. Jego marzeniem było jeszcze zobaczyć mamę, spotkać się. On już jako kapłan, jako ksiądz. No i udało mu się pojechać, bo wtedy wyjechać za granicę do Polski, to nie było łatwo. Jemu się udało pojechać. Pojechał, z mamą się zobaczył, z tatą się zobaczył i z rodzeństwem, jak to tam było, któreś wracało powoli. Ale mama rok, w 1948, w 1949, w 1950 roku na cukrzycę chorowała, nie wiedząc o tym, że choruje na tę cukrzycę. I na cukrzycę zmarła, bo jak zaczęli ją leczyć, to tak zaleczyli, że było za późno już, a wtedy nie było łatwo ani o lekarstwa, ani na leczenie i zmarła w 1950 roku. Maryś zawsze cieszył się, ja byłem już wtedy w Argentynie. Brat Kazimierz też, on był w Anglii najpierw, później w Argentynie. Więc Maryś się cieszył z tego, że mógł z mamą jeszcze się zobaczyć przed śmiercią. A ja mamę jak zostawiłem w 1936 roku, to więcej nie zobaczyłem, nie widziałem. Ale za to w 60. latach, jak przyjechałem do Polski, to jeszcze widziałem się z moim ojcem. I to dwa, trzy razy przyjeżdżałem do Polski samochodem z Włoch i jeszcze się nacieszyłem, bo pamiętam, bardzo lubię, no, moim samochodem, a wtedy przyjeżdżać samochodem z Włoch, [niezrozumiałe, 00:28:04] Roma, to była rzecz nadzwyczajna. A on, że jak tak jego syn go wozi, pamiętam, z Poznania do Puszczykowa. To jest jakieś 19 kilometrów, zapoznałem piękne lasy i tam była taka wspaniała restauracyjka. To były czasy Gomułki, gomułkowskie, komunistów. Żeby dostać dobre jedzenie, a w tej restauracyjce to tam było wszystko. Oczywiście płaciło się dolarami, a wtedy wiecie, jakie były stosunki. Jak ktoś, my z zagranicy przyjeżdżali, mieliśmy kilka dolarów w kieszeni, to myśmy byli tutaj wielkimi panami. Się wymieniało na... Bo najpierw trzeba było kupować te vouchery sławne, te urzędowe dolary, to nie było żadne złodziejstwo ani oszustwo, bo za te vouchery to myśmy chodzili do hoteli, do pierwszorzędných, pierwszoklasowych hoteli i płaciliśmy tymi voucherami po cenie polskiej, tak jak Polacy płacili. Tak że to nie było wcale... tylko to było, co mówiłem, bo jednak na wolnym rynku to się podwójnie dostawało za dolara, a ich te urzędowe, to była cena urzędowa.

Rafał Pękała: Czy możemy wrócić do Rzymu i lat 1939-1943? Bo w 1943 już 2. Korpus, to właściwie w 1944. Natomiast co wujek robił po cofnięciu się z granicy, bo rozumiem, że na początku studiował, ale czym się zajmował, jak żył, gdzie mieszkał, jak zdobywał środki do życia?

Wacław Żelazek: Więc, mieszkać, to ja wam powiem, gdzie mieszkałem nawet. Mieszkałem na Piazza Venezia, u takich markizów włoskich, których, wiecie, że wtedy to się nosiło papieży na takich sedia gestatoriach i ojciec tych markizów to był ten, który nosił papieży na tym, to był wielki zaszczyt, to był taki, no, zaszczyt szlachecki. To tylko niektórym się udawało. I synowie tych mieszkali w takim pałacyku naprzeciw Mussoliniego. I ja tam mieszkałem, u nich pracowałem. Byłem takim majordomus. Oni mieli wielki dom i ja pracowałem jako majordomus. Oni mnie tam przyjęli, oczywiście szanowali niesamowicie. Ale już korpus, już był Anders sławny i chyba nie wiedzieli, że ja patriota, tylko czekam, żeby się do tego Andersa dostać. Pomagali, jak mogli i ukrywałem się przedtem, bo w pewnym momencie, wiecie, że Niemcy, Włosi to byli Alianci, tak? Ale Włosi, Niemcy nie weszli do Rzymu. Do Rzymu weszli dopiero, jak Włosi zdradzili Niemców. Jak upadł Mussolini, to wtedy weszli do Rzymu. Wtedy zbombardowali Anglicy i alianci zbombardowali Rzym. Jeden nalot zrobili, ale to poważny, porządny. Całą dzielnicę zniszczyli. Właśnie dzielnicę cmentarną. Oni chcieli stację, trochę uszkodzili stację, a od stacji jakieś dwa kilometry jest główny cmentarz. Stary, zabytkowy cmentarz rzymski. No i to zniszczyli. I tak czekałem, i studiowałem. Bo w międzyczasie utworzyli już gimnazjum polskie w Rzymie. I ci uchodźcy, profesorowie, pamiętam, jak profesor, mój dobry znajomy, Domaradzki się nazywał, później został rektorem uniwersytetu w Kanadzie. Był tam, który uczył mnie matematyki. Żyd zresztą, ale bardzo porządny Żyd. Niejaki profesor Winawer. Uciekinier z Polski. Tam organizowali w Rzymie szkołę, uczelnictwo i u Sióstr Zmartwychwstank zbieraliśmy się po kryjomu, tam wykłady były. Jedna z tych Sióstr Zmartwychwstank, zresztą matka generalna, udzielała nam lekcji filozofii. Ja od razu się zapisałem, skończyłem, dostałem tam maturę i od razu zapisałem się na uniwersytet włoski. Z tym, że oni respektowali, bo ja musiałem te matury zdawać włosko-polskie. Oni te matury respektowali, a tam mając maturę, to się zapisywało na uniwersytet. Ja chciałem się dostać na politologię, ale wtedy już Włosi skasowali politologię, bo to byli nieprzyjaciele aliantów, więc oni nie pozwolili im. To się zapisałem na ekonomię i handel. I prowadziłem to trzy, cztery lata jeszcze, aż do wyjazdu z Włoch. Tam poznałem moją żonę i pobraliśmy się. Tam urodziła się pierwsza córeczka, właśnie ta Stasia moja. No i tam już wiadomo było, że trzeba Włochy opuszczać.

Anna T. Pietraszak: A jak się nazywała żona?

Wacław Żelazek: Teresa Torcieu. Torcieu to jest miejscowość, która znajduje się 20 kilometrów od Monte Cassino. W takim pięknym położeniu jak Monte Cassino, też w górach, piękna miejscowość i tam jest ich rodzinny, mieszkanie mojej żony. A teraz jeszcze, wracając do Monte Cassino. Opatem na Monte Cassino to był wujek mojej żony. Bo wiecie, że opaty to są benedyktyni? Każdy opat to jest biskupem. Ma jurysdykcję tylko nad swoim opactwem. I właśnie opat tego... I on opowiadał, ja go poznałem później po wojnie, on opowiadał, że Niemców w klasztorze nie było. To jest nieprawda. Przecież kto był na Monte Cassino, wie, przecież widzi. Tam, gdzie jest posąg 3. Dywizji, który znajduje się o wiele wyżej od klasztoru. Cmentarz jest niżej klasztoru. Ale gdzie były walki, gdzie byli Niemcy? To byli powyżej klasztoru, który się znajduje jakiś prawie kilometr od klasztoru. I mało to, opat opowiadał, że Niemcy jak już zaczęli, otoczyli, już byli w Monte Cassino alianci, miasto zburzyli, całą tam tę rzekę zatarasowali. To oni pomogli wywieźć tym benedyktynom z klasztoru te wszystkie bogactwa, zwłaszcza bibliotekę starożytną, sławną bibliotekę benedyktyńską, to Niemcy wywieźli. Pomogli im po prostu. I tam zostało później na końcu, już po bombardowaniu, dopiero weszli Niemcy do Klasztoru. To, że bombardowanie klasztoru, to wiecie, to jest głupota, bezmyślność amerykańska. To było

zupełnie niepotrzebne. Bo oni, Niemcy przecież nie głupi, żeby oni w klasztorze siedzieli i czekali na bombardowanie. Oni byli do góry na bunkrach, powyżej klasztoru. A wracając jeszcze do żony, żona, pobraliśmy się i Maryś był na naszym ślubie. Ale jako kleryk jeszcze. A ślub to mi dawał jeden zmartwychwstaniec, który był z Marysiem, ale już był księdzem, był w obozie, niejaki ksiądz Anders, zmartwychwstaniec i z obozu przyjechał też do Rzymu. On w Rzymie, zmartwychwstańcy mają też w dom generalny i wielką siedzibę, więc on... A drugi to był ksiądz, który był kapelanem drugiej dywizji polskiej, która została internowana w Szwajcarii. To jest ministrant dawny. Taki przyjaciel, że proszę sobie wyobrazić, że wiele razy ja przyjeżdżałem do Włoch, to ja odwiedzałem go, bo on później został w Szwajcarii. Wiecie, że po wojnie Szwajcarzy całą tę dywizję polską, bo tam się schroniła cała dywizja, to było jakieś 15 tysięcy ludzi, z Francji wycofywali się powoli i zostali internowani w Szwajcarii. I on został kapelanem, i prowadził. Później po wojnie Szwajcarzy Polaków wzięli, zostali tylko ci Polacy, którzy się pobrali ze Szwajcarkami. Zawarli małżeństwa ze Szwajcarkami, to ci zostali. I ten kapelan, ten ksiądz Majsza, jak się nazywał, tak polubił go biskup, że go nie chciał więcej wypuścić ze Szwajcarii. Ofiarował mu najlepsze parafie, wybieraj, co chcesz, tylko żeby został, bo tam nie mają powołań, w ogóle nigdzie nie ma powołań. My możemy tylko bożince podziękować, że tu jeszcze są powołania, chociaż coraz mniej. Spytajcie się werbistów na przykład. W Chłudowie oni mieli piękny nowicjat, prawie próżny stoi. Teraz ostatnio, to jest też kryzys. Ale są kraje, gdzie w ogóle nie ma powołań. Argentyna to jest pierwsza. Brazylia, cała Południowa Ameryka. Żeby nie Polacy, którzy tam jeżdżą i pracują, tam są werbiści polscy w Argentynie, to oni prowadzą 50% parafii argentyńskich, bo tam Polaków, nie wiem... a między Polakami to właściwie są teraz, byli najpierw werbiści, a teraz są franciszkanie. Polscy franciszkanie. Ale inne zakony też na przykład, saletyni, ta sławna wycieczka, ta katastrofa była w La Salette teraz naszego autobusu. Ja byłem w tym La Salette. Bo moi sąsiedzi tam w Argentynie to byli saletyni. Dwóch Polaków. Wspaniali goście. Poumierali już obydwój. Mówię no, ale wracając do tego kapelana, mojego ministranckiego. Proszę sobie wyobrazić, że on potrafił, starszek schorowany, potrafił przyjechać do mnie do Argentyny, żeby mnie odwiedzić. I był dwa chyba, przeszło dwa miesiące siedział u mnie, żeby mnie tylko odwiedzić. Schorowany i później po tych odwiedzinach to dwa lata i umarł. Tak był schorowany. Miał przepuklinę, operacje różne niesamowite. Ale taka przyjaźń była.

Rafał Pękała: Prosimy jeszcze o przedstawienie rodzeństwa. Wszystkich. Nazwanie imieniem, nazwiskiem i przedstawienie krótkich losów.

Wacław Żelazek: Więc pierwszy Mieczysław. Mieczysław, urodziny to bym musiał zobaczyć z książki, nie pamiętam, ale mam to wszystko zapisane. Mieczysław, najstarszy. Pod nim był Kazimierz. Ten wojak z Syberii, który wyszedł. Następnie był Władysław, który został wysiedlony z Poznania i całą wojnę przeżył na południowej Polsce, gdzieś tam pod Krakowem. Później była ta siostra, którą poznałaś, Marianna. Marianna, która umarła o wiele... siedem lat temu. Ona miała tu ze mną mieszkać na tym domku, żeby tu ją sprowadzić. Po niej była Stanisława, też siostra. Po Stanisławie przychodzi Stanisław, ten zmartwychwstaniec, ksiądz zmartwychwstaniec. Po Stanisławie - Marian, werbista. Po Marianie - ja, Wacław. Po mnie była siostra Janina, której tu nie ma... A, jest na zdjęciu, tak. Janina, która zginęła tragiczną śmiercią już po wojnie. Po wojnie, nie wiadomo, jaką śmiercią. Nie wiemy, gdzie, kto i jak. Prawdopodobnie, takie są pogłoski, że ona zaraz po wojnie, jeszcze ruski siedzieli tutaj i prawdopodobnie takie ruskie musieli ją zagarnąć, prawdopodobnie gwałcili, nie pogwałcili i zamordowali. Nigdy ani ciała nie znaleziono, ani nic nie wiadomo. Po prostu tragicznie zginęła, czego mama, żyła jeszcze wtedy, nie mogła odżałować, to może też do grobu ją

doprowadziło. Dobrze, po tej Janinie jest Henryk. Henryk był tam... on był to młodsze pokolenie oczywiście, więc oni tutaj w czasie wojny jakoś się bali, przy rodzinie byli. A później po wojnie, wiem tylko, jak ja tu przyjeżdżałem w 60. latach, to on był dyrektorem pod Poznaniem, były wielkie zakłady, gdzie hodowali te wszystkie ziółka zdrowotne. To było kilkanaście hektarów. Wszystkie działki. On był dyrektorem właśnie tych zakładów. Jak to kiedyś doglądałem. On mnie tam zawiózł, oglądałem, wspaniale to wyglądało. Wszystko posegregowane, każde ziółka w swoim, pięknie uprawiane. Później po Henryku była Urszula, siostra, która zmarła, bardzo młoda i miała bardzo nieszczęśliwe małżeństwo. Miała bardzo zdolnego chłopaka, który był pierwszym architektem Poznania. Po wojnie zaraz Poznań był nie bardzo zniszczony, ale był zniszczony, więc on odbudowywał Poznań, ale zachorował na chorobę straszną - Alzheimera, jakoś tak się nazywa, tak. Alzheimera. Tak, no to jest choroba dziedziczna i jego ojciec, bo ona później się dowiadywała, oczywiście też się dowiadywała, to dopiero przed śmiercią zachorował, a on zachorował, młody gość, chyba miał trzydzieści i coś lat. Zachorował i ja, jak przyjeżdżałem w 1960 roku, już był bardzo chory, ale był tak wspaniały gość. On jeszcze wtedy... bo ta choroba mu się na głowę, na umysł, ale on mi chciał pokazywać Poznań, chciał mnie objaśniać, bo on to wszystko znał, bo on to prowadził, tę odbudowę i tak dalej. No nie udało się. Umarł bardzo młodo. A siostra pojechała tu nad morze, niedaleko, do Kołobrzegu na wakacje. Ona prowadziła całe gospodarstwo zresztą. Miała straszne żylaki. Stając za ladą, bo myśmy prowadzili do końca ten sklepik spożywczy. I to prowadziła właśnie ta młodsza siostra. Prawdopodobnie za tą ladą, za tym kręceniem i wylew tych żylaków. Pojechała na wakacje, tu nad morze, niby się leczyć i umarła nagle prawie, przywieźli, i jest pochowana w Poznaniu. Później po... I Zosia, która żyje. Przyjedzie jutro tutaj, to ją poznać. I Urszula, jest w Opolu teraz. I tak Zosia, jak i Urszula, to są moje dwie ostatnie siostrzyczki, najmłodsze, które żyją i mają wspaniałe rodziny. Obydwoje. Ta tutaj ma czterech synów. Mają wszyscy wspaniałe rodziny, pięknie usytuowany, jeden nadleśnik, drugi notariuszem, prawnikiem trzeci, wszyscy piękni, piękne rodziny. Po dwóch, trzech synów. A ta w Opolu znowu ma trzy córki i jednego syna. Tak że też pięknie urzędzeni. Jedyna satysfakcja, że naprawdę rodziniki się udały, no i skończyła się rodzinika. Tak chyba jeszcze policzyć, to czternaścioro, ale oprócz tego, pamiętajcie, że jeszcze myśmy, ja, że pamiętam, jak miałem jeszcze siedem, osiem lat, tam, w Pałędziu, to moi rodzice mieli dwóch naszych dalekich kuzynów, sierot. Rodzice zginęli w czasie I wojny światowej, na wojnie i te sieroty tutaj przygarnięte przez... to byli nasi kuzyni od strony ojca i oni się wychowywali z nami aż do 21. roku. Później weszli na swoje, poszli w świat, i oddalili się od nich. Ale tak byli z rodziną razem. A oprócz tego, oprócz tych czternaścioro, co jesteśmy na zdjęciach i tych dwóch sierot, trzech umarło. Jeden po urodzeniu, drugi zaraz w młodym wieku. Właściwie to byłoby nas siedemnaścioro, plus tych dwóch, to dziewiętnaścioro. Taka byłaby rodzina. Ale przy życiu to jest ta... bo to zdjęcie, tam jest, ta czternaścioro grupa. To chyba jest ostatnie zdjęcie, na którym byliśmy w całości. Od tego zdjęcia to pierwszy, kto się ulotnił, to ja. Pierwszy jeszcze, co wyjechałem w ogóle z Polski. A później powoli wojna nas rozproszyła. Po wojnie później już nie spotkali się nigdy w czołówce.

Rafał Pękała: Mamy trzynaścioro rodzeństwa. Jedno nam zniknęło. Ja może powtórzę. Mieczysław, Kazimierz, Władysław, Marianna, Stanisława, Stanisław, Marian, Waclaw, Janina, Henryk, to jest dziesięć. Urszula, Zosia...

Wacław Żelazek: A nie, nie, nie. To między Janiną a... Nie, między Janiną a Henrykiem jest Zdzisław. Zdzisław, który żyje. Jedyńy. Ja i ten Zdzisław został. Znasz zresztą Zdzisława. Prawda, że znasz Zdzisława? Byliście razem z Peszkowskim potem u niego na Chełmońskiego w Poznaniu. Więc on był inżynierem budowniczym. On odbudowywał Poznań.

Ratusz w poznańskim, na ratuszu poznańskim jest taka plakieta i jest jego nazwisko wypisane, bo on odbudowywał ratusz poznański. I przy tym kilka domów, które tam oglądałem w Poznaniu, które on budował. Oczywiście za czasów komunistów, on ma taki skromny apartamencik, dzierżawę dostał. Do dzisiaj nie jest jego, ale sobie pobudował daczę, teraz jest w wolnej Polsce. Potem, po Solidarności, pod Poznaniem taką daczę w pięknym lesie. I tam właśnie... grosz życia, bo schorowani też obydwój, on i żona. Schorowani, ale trzymają się jeszcze. Tu mnie często odwiedzają. I oni mają dwóch synów. Jeden z tych Żelazków, bo to jedyny Żelazkowy, bo to są nazwiska Żelazków, jeden ma tylko córkę, a drugi, młodszy, ma aż pięciu, czy sześciu chłopaków. Wszystko takie, dranie wysokie. Wszyscy urzędowni już, [niezrozumiałe, 00:49:42]. I jeden z tych chłopaków właśnie, on był na tym sympozjum. Nie, on był na wystawie i tam, nie wiem, czy widział, w pewnym momencie jak go spotykałem. Więc teraz jest już skompletowana rodzina.

Rafał Pękała: Jak najbardziej. To teraz jeszcze sam wyjazd. Pamiętam, szkoła, wystawa w Rzymie, tak? I możliwość wyjazdu. Wujek powiedział o tym, że zaopiekowali się nim tam zmartwychwstańcy. Jak wyglądał wyjazd, jak wyglądały przygotowania i jak wyglądało życie na miejscu już?

Wacław Żelazek: Gdzie, w Rzymie już?

Rafał Pękała: W Rzymie, tak.

Wacław Żelazek: W Rzymie, po przyjeździe do Rzymu.

Rafał Pękała: I w jakim celu wyjeżdżał wujek do Rzymu z dostawą.

Wacław Żelazek: Jechałem właśnie z wielką zniżką kolejową i mi paszport wyrabiał ten brat, bo jechałem na wystawę tej katolickiej... no, jak się nazywa, wydawnictw, katolickich wydawnictw, które się odbywało w Watykanie. Na tej wystawie byłem i tam pierwszą nagrodę dostał Przewodnik Katolicki, z którego ja ramienia właściwie jechałem tam. I od tego czasu jak w Rzymie już zostałem, a mnie do Polski specjalnie [niezrozumiałe, 00:51:10]. Wiecie dlaczego? Bo żal mi było rodziców te czesne płacić. Więc tam trochę zarabiając, trochę tam zmartwychwstańcy pomogli, przytuliłem się i zostałem w tych Włoszech.

Rafał Pękała: Trochę zarabiałem, to znaczy, w jaki sposób wujek pracował i czy wtedy się uczył?

Wacław Żelazek: Jak no, mówiłem, byłem majordomus u takiego markiza. U takiego noblisty włoskiego, szlachcica włoskiego, który dawał mi mieszkanie, utrzymanie i miał małego chłopaka. Ja tym chłopakiem się zajmowałem najwięcej. Uczyłem go po prostu. Miałem mieszkanie, piękne, wtedy była bieda niesamowita we Włoszech. Oni mieli piękne posiadłości poza Rzymem, które raz po raz, w czasie wakacji, wyjeżdżaliśmy tam, a przy tym on był wielkim antyfaszystą. Pamiętajcie, że wtedy we Włoszech to wszyscy chodzili w czarnych koszulach. Włosi byli wszyscy faszystami. Od małych dzieciaków. A pamiętam już te małe, karabinki małe w czarnych koszulkach łazili. Pamiętam do dzisiaj. Na tym Placu Weneckim, w którym ja tam bliźniutko mieszkałem, cały plac zapełniony, matki, Włoszki, dzieci wyciągają do Mussoliniego do tego balkonu. „Duce nostre bambini per voi”. Na wojnę chcieli iść, tak było. Studenci, studenci uniwersyteccy przeważnie, wszystko w tych czarnych koszulach. Wołali, chcieli wojnę. Bo Niemcy już pół Europy zagarnęli, to oni chcieli też jakieś ochłapy dostać. I na tę wojnę poszli. Bowiem pamiętajcie, że jeśli

było trzech dyktatorów, którzy tę straszną wojnę wywołali, to może najmniej groźny to był Mussolini, bo on na pewno nikogo nie mordował. On tam tych polityków swoich to najwyżej dawał im rycynusu, żeby ich oswoić, ale on nikogo nie mordował i dużo, dużo zrobił dla Włoch. Ale później uderzyło mu do głowy i za tym Hitlerem poszedł. I został najbardziej, najstraszliwiej ukarany, właśnie Mussolini. Bo żaden z tych dyktatorów nie zginął tak straszną śmiercią, jak właśnie Mussolini, przez własnych swoich kompatriotów. Opluty, powieszony i nago. On razem z jego kochanką, przecież co oni wyprawiali, to woła o pomstę do nieba. On naprawdę na to sobie nie zasłużył. Chociaż, jak mówię, ponieważ ja za to wypowiedzenie jego, to mu wystarczyło. A później jak widziałem tych, że najpierw byli wszyscy na czarno, a później pierwsi zrobili się wszyscy na czerwono. No pamiętajcie, że największa partia komunistyczna w tych 60 ostatnich latach to była we Włoszech. Włosi tylko cudem nie dostali się, w ogóle nie zapanowali nad Włochami, komuniści, tylko dlatego, bo Amerykanie, żeby tych komunistów nie dopuścić, to oni po prostu szantażowali Amerykę, żeby im dawali pomoc i dolary wysyłali. I żeby, wiesz, byłby wstręt i wstyd, żeby Watykan - komuniści, gdzie Watykan, żeby tam byli komuniści.

Rafał Pękała: Wujku? Czy wujek pamięta, bo, mówił o tym, że pomagał Polakom.

Wacław Żelazek: Tak.

Rafał Pękała: Czy było to zorganizowane, czy było to działanie wujka samodzielne?

Wacław Żelazek: Więc zorganizowane było tyle, to raczej samodzielne, bym powiedział. Tylko że ja znałem, gdzie ich lokować. Na przykład u zmartwychwstańców. Tam oni mają klasztor, duży klasztor. Dawniej mieli dużo kleryków, w czasie wojny ci klerycy nie napływali, więc mieli trochę miejsca. To ja tam kilku umieszczałem, takich, o, moich profesorów, którzy mi dawali lekcje, to ja mówię, o, to miejsce, tacy dawni, już teraz nazwiska nie pamiętam, którzy byli w rządzie dawnym, przedwojennym rządzie, byli ministrami, byli... To ich lokowałem po znajomych moich, bo ja tamtych Włochów już poznałem trochę. A ten markiz, do jego rodziny odsyłali drugich Polaków. On już na końcu później, to wiecie, że była ta organizacja Todt, w której jeździli zawsze pod dowództwem tych hitlerowców Niemców, oni jeździli po całej Europie, przeważnie zwozili łupy, do Niemiec wywozili. I taka jechała ekspedycja, tych Polaków, zwłaszcza Lwowiaków, ze Wschodu. Młodych chłopaków, którzy jechali pod eskortą tych hitlerowców na Bałkany i później wracali, załadowane ciężarówki, wieźli cały ten łup do Niemiec. Polacy już byli we Włoszech, już wylądowali, a oni doszli tam gdzieś tam pod granicę, spławili Niemców, spławili cały ten wywożony dobytek. I uciekali do Andersa. I takich chłopaków ja miałem 30. 30 ostatnich właśnie z organizacji Todt. Do dziś, taki Lisowski, Bielak, pamiętam ich. To ja ich trzymałem, utrzymałem, jeszcze trochę, to tutaj grupa, tam grupa, a jak przyjechał transport, naładowaliśmy się wszyscy i do Andersa.

Rafał Pękała: Jak oni nawiązywali z wujkiem kontakt?

Wacław Żelazek: Jak nawiązywali? Każdy się pchał tam, dużo zakonów polskich, o te siostry zmartwychwstanki, elżbietanki, nazaretanki, to oni do klasztoru, tak. A ja z klasztorami miałem ze wszystkimi styczność. Miałem, oni odsyłali, jeden drugiego. Kto bardziej znał te Włochy, kto więcej wtyczki miał, to jeden drugiemu podsyłał. I w ten sposób się organizowaliśmy. Zawsze w ukryciu. Ja sam miałem pokoik, tam, u tych markizów i ja sobie wziąłem jeszcze dwóch chłopaków za pozwoleniem tej markizy, mówię. Przyjechali w odwiedziny i pojedą dalej. No dobrze, no i byli jeszcze. Jakieś sześć miesięcy. Mieszkali w moim pokoiku, razem mieszkaliśmy. I tak żeśmy umieszczali, gdzie się dało.